Ner 45. Kraków, 11go Listopada. 1861.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	— c. w. a.	
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50 „ „ „	
Miesięcznie .	— „	50 „ „ „	

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20 c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10 „ „ „
Kwartalnie .	2 „	55 „ „ „
Miesięcznie .	— „	85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20 c. . a.
Półrocznie .	3 „	60 „ „ „
Kwartalnie .	1 „	80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40 c. w. a
Półrocznie .	5 „	70 „ „ „
Kwartalnie .	2 „	85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

☛ Upraszam o spieszne łaskawe nadesłanie zaległości.

Redaktor.

O Zbytku.

I.

Bo cokolwiek jest nazbyt, już dobrem zwano być nie może.
Żywot człowieka poczciwego Mikołaja Reja.

Nie będziemy się wdawać w określenie zbytku, który nadto jest względny, aby go określić można stanowczo. Zbytek dla każdego narodu, dla każdej rodziny, prawie dla każdego pojedyńczego człowieka ma osobne znaczenie. Co dla jednego człowieka jest zbytkiem, dla drugiego zaledwie może być konieczną potrzebą. Przedział między potrzebą a zbytkiem, granicę tę subtelną, odznaczyć tylko może zdrowy rozsądek.

O zbytku pisano bardzo wiele, wszystkie wieki pozostawiły nam ślady, iż zajmowano się chorobą tą, nurtującą szkodliwie w każdym organizmie śpółecznym. Filozofowie wszystkich szkół i wszystkich wieków wszechstronnie traktowali kwestyę zbytku, już tem samem dając świadectwo o jej ważności i wpływie tak na losy pojedyńczych ludzi, jak i na losy narodu. U Greków i Rzymian powstają prawa przeciw zbytkowi; z podobnemi prawami spotykamy się jeszcze w nieodległych wiekach we Włoszech, Francyi, Niemczech i Anglii. Lecz nie tym to środkiem zbytek da się powstrzymać, litera prawa jest tu niedostateczną, moc prawodawcza niezdolna przedrzeć się w zakąty prywatnego życia, kędy zbytek zwykł się roztaczać z całą ohydą. Nie wozchła ustawa prawna lecz podniesienie prawdziwej oświaty i grozy moralnej, uzacnienie uczcić, chrześciańskie przejęcie się przeznaczeniem życia, są radykalnemi lekarstwami na zbytek. Mimo praw najostrzejszych, może Kleopatra rozpuszczać perły uryańskie w winie, bo prawo ani wszystkim złego zakazać nie może, ani z niego wielu wyleczyć zdoła.

Moraliści i filozowie nasi wymownie powstawali na zbytek, a jak obywatelskość i praktyczność jest zawsze główną cechą przeszłej literatury naszej, tak i w kwestyi zbytku, wszystkie przemawiające głosy głównie na nią z praktycznej zapatrują się strony. Nieznajdujemy też nigdzie oschłego traktatu o zbytku; lecz wszędzie zbytek brany jest odnośnie do życia i potęgi narodu, wszędzie znajdujemy go w zastósowaniu do codziennego życia z wskazaniem brzemiennych następstw płynących z niego. Tak przemawiali Rej, Modrzewski, Górnicki, Starowolski i inni...

Surowość i prostota obyczajów długo broniła naród od zbytku, zamiłowanie rycerskiego żywota mężów, a klasztorne ciche życie Niewiast, niepozwalały krzewić się zbytkowi. Z rozmiękczeniem dopiero obyczajów wkrada się i zbytek, a że z góry płynie wszelki przykład, więc i grzeszący zbytkiem dwór Bony zaszczepia w narodzie jego zamiłowanie. Bona auzońskiej strefy córa, wychowana na dworze Sforziów, głośnych ze zbytków i zepsucia, jak wszyscy ówcześni na półwyspie, przyniosła ze sobą w chłodne podniebie Polski nieznane dotąd sarmackiej ludności zwyczaje... Jad złego zaszczepiony, wnet samorodnie i bujnie się krzewi: już Zygmunt August—zbytkiem roztrwania cały skarb własny tak, że gdy w Kneszynie zamknął oczy, do odpowiedniego uczczenia zwłok jego niestało ozdób. — Fodtąd zbytek, już coraz więcej rozsiada się przy domowych ogniskach naszych, a zbytek ten musiał być rażącym, kiedy tak przemawia Skarga w swych kazaniach sejmowych. „O Boże mój! jakie zbytki w to się królestwo wniosły, które miłosierdzie wszystko wypędziły. Począwszy od małych aż do wielkich, wszyscy mierność świętą i proste używanie opuścili, i onem staropolskiem a żołnierskiem życiem wzgardzili. Każdy chce wino pić: już nie tyle woda, na którejśmy przestawali, ale i piwo niezdrowe młodym i zdrowym; jedną na dzień kwartą wina do roku sto złotych blisko utraci. Rzadki panosza bez jedwabiów, bez poszóstnych koni, bez kilkanaście pachołków i barwy jedwabnej; bez kolebek i strojnych obitych kotczych jeździć nie chcą; już siodła tylo woźnicze zostały, w wozie koń za kilka set złotych, z jezdy szlacheckiej stali się wozownicy, poduszniсy, pierznicy, z łóżkami i pierzynkami jadą. Zbrojny i jezdny pachołek zginął, i siła mężka rozkoszami struchlała. Białogłowy tak w ubiorach i strojach swoich przebrały, iż końca utratom nie masz: na jedwabie, złotygłowy, opony i ferety i karety utrat nie przeliczysz. Na półmiski i liczbę niezwyczajną potraw musi stawać byle się pokazać, a marności, czci i sławy ludzkiej, która za nic nie stoi, nabywać. A miłosierdzie zginęło i ku rzeczypospolitej. Nikt w takim dostatku zamków i murów nie opatruje! Wszystka rzplta uboga, domy tylo pojedynkowe bogate. Nie masz czem przykryć i tego, co ojcowie dla obrony pobudowali. Nie masz pieniędzy na żołnierza, na sypanie wałów, na działa i prochy, na opatrzenie twierdzy. Nie masz na kościoły, na ubogie i nędzne poddane, i na inne potrzeby pobożne i zbawienne; wszystko na zbytkach i spro-

*) jazdy.

snych utratach ginie..." Przytoczyliśmy cały ten ustęp, gdyż wszystko, co wyszło z ust tego kapłana-proroka, ma dla nas niesłychaną wagę: bo on, który widział rysującą się budowę rzeczypospolitej, a przez gorącą miłość dla narodu, obdarzony był jasnowidzeniem wszystkich przyszłych niedól jego, powstając na zbytek, w słowach swoich streścił zarazem wszystkie jego następstwa. Niezawodnie zbytek zobojętnia człowieka na wszelkie wzniosłe i szlachetne natchnienia, odciąga od trudu i pracy żywota, od obowiązków względem rodziny i kraju, upaja go narkotycznie i nurza w egoizmie i czczości, a w końcu wiedzie go w przepaść, na dnie której najczęściej leży występek, czarna zbrodnia.

Jak charakter i usposobienie pojedyńczych ludzi nadaje piętno całemu narodowi, tak i w materyalnym względzie zbytek pojedyńczych wpływa przeważnie na siłę narodu. Zaglądnijmy tylko do historyi: każdy upadający naród zbytkami pojedyńczych, a ztąd płynącą niemoralnością, zapisuje ostatnie swe karty dziejowe... Tak upada Grecya, tak kona Rzym, tak zbytkująca chwieje się Francya za Ludwika XV. Ale w żadnej historyi niema tak dobitnego dowodu silnego wpływu życia prywatnego na szalę dziejową narodu jak w historyi naszej, bo nigdzie silniej jak u nas nie było zespolone życie prywatne z publicznem — obywatelskość urzędów wszystkich, skupienie władzy całej w rękach szlachty tylko, tworzyło z niej zakon, od którego zależały losu całego narodu. Pokąd zakon ten był na wysokości posłannictwa i przeznaczenia swojego, gmach rzeczypospolitej stał niewzruszony. Ależ między wieloma innemi przyczynami, zbytek przyczynił się nie mało do osłabienia granitowej tęgości tego zakonu. Popatrzmy tylko. Za Sasów potęga Polski poniewierana przez sąsiednie państwa, nierząd i anarchia, bezwładność wróżąca letarg wiekowy—wszystko ku upadkowi się chyli a zbytek grasuje w całej sile, zbytek jak mówi Kitowicz, osiada w każdym dworze szlacheckim.

Znika prostota obyczajów, zastąpiona wybrednością, przepych w strojach i ucztach, tłumne zjazdy, wesela i gody, pijaństwo... a dalej za Stanisławowskich czasów, zbytek pochłania fortuny, rujnuje rodziny, każe do ostatnich udawać się środków, i powstają tacy Hulewicze — Ponińscy...

O! jakże to odmienny zbytek spotykamy w poprzednich wiekach, widzimy poświęcających fortuny własne dla ratowania ojczyzny. Chodkiewicze, Zamojscy, Sapiehowie, Radziwiłłowie, Sieniawscy, Żółkiewscy i tylu a tylu innych, stawiają hufce własnym kosztem i prowadzą wojny; zastawiają dobra własne, srebra i klejnoty by użyć ojczyźnie w niedoli... i to zbytek, ależ daj Boże! by tylko taki pośród nas bywał zbytek, daj Boże byśmy wszyscy tylko tak chcieli i umieli zbytkować.

Odczytując dzieła moralistów naszych, piszących o zbytku, zdybujemy się często z utyskiwaniami nad marnotrawstwem i zamiłowaniem do zbytku niewiast polskich. Wprawdzie zbytek jest słabością wspólną całemu rodzajowi ludzkiemu, jednakże sądzimy iż utyskiwania te nie są bez słusznych powodów. Wpływ kobiet na szerzenie się zbytku jest niezmiernie donośnym, pomówimy o tem później obszernie, tu dodamy tylko, iż zazwyczaj kobiety zbytkują w strojach—tak było dawniej, tak jest podobno i dziś jeszcze. Skarga, w przytoczonym ustępie z kazań sejmowych, mówi dobitnie o zbytkowaniu w strojach i ozdobach niewiast. Podobnież Bielski w broszurze: „Sejm Niewieści" żywemi kolorami maluje ich zamiłowanie do zbytkownych ubiorów. Za Wazów mieszczki krakowskie przesadzały się w strojach, chcąc dorównać szlachciankom. Kitowicz w pamiętnikach swoich z czasów Augusta IIIgo osobny ustęp poświęca opisowi niewieścich strojów, które były bardzo różnorodne i kosztowne. Nie ganimy zupełnie, jeżeli kobieta ładnie ubierać się lubi, jeżeli świeżą i powabną szatą pragnie podnieść dane jej od Boga wdzięki, nie jesteśmy tak dalece purytanami, lecz jakżeż to wielki przedział między pięknem, a zbytkiem... jakżeż wyżej stoi świeżość i gust dobry od wymarzonego nieraz zbytku. Jakżeż zachwyca nas nieraz zgrabnie wpleciony w włosy mały pączek róży — kiedy odwracamy się z niesmakiem od napuszystego dyademu z brylantów..... gust dobry nabiera się wewnętrznem wykształceniem tylko, a nigdy go się nie zdobędzie zbytkiem. Pragniemy piękna wszędzie, dla tego powstawać powinniśmy na zbytek, który znamionuje tylko próżnią serca i wielką lekkość umysłu. W. B. K.

MARYA KAZIMIERA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

Wesele Maryi Kazimiery z Zamojskim odbyło się r. 1657 w Warszawie. Okazałość i świetność z jakiemi się to *francuskie wesele w Polsce* odbywało — ten komiczny ustęp w krwawej epopei narodu—jakżeż okropne i bolesne zostawiły świadectwo strasznej i zaraźliwej choroby dworu, niedołężności króla, który w tej komedyi stoi gdzieś na trzecim planie, jako nie mówiący figurant, i jakżeż dokładnie charakteryzują politykę Maryi Ludwiki, poświęcającej dla swych widoków wszystkie najszlachetniejsze uczucia polskiego serca! Opisy tego wesela, w pamiętnikach francuskich umieszczone, najboleśniejszem uczuciem przepełniają serce czytającego. Przytaczać je nietylko zbyteczną, ale i niegodziwą byłoby rzeczą. Sama wzmianka o nich wystarcza, jak sądzimy, do wzbudzenia odrazy w sercach wszystkich ku temu, co w owej nieszczęsnej dla Polski epoce późniejszą karę niebios nam sprowadziło.

Dla tego też wybaczą nam łaskawe i piękne czytelniczki zbytnią może rozwlekłość poprzedniego rozdziału, żeśmy dążąc do opowiadania niniejszego, niejako przygotowaniem i tłem do niego, zrobili owe nasze o wypadkach za Jana Kazimierza wzmianki, wśród których to wypadków następowały po sobie te zdarzenia (fakta), właściwie do naszej monografii należące. Na zarysowanem tle spółczesnych dziejów łatwiej malować pojedyńcze w nich występujące figury.

Fałszywą zaiste nutą nazwie każdy, w ogólnym narodowym jęku, owo wesele Zamojskiego z Maryą Kazimierą. Marya Ludwika dobrze wiedzieć mogła o wrażeniu, jakie to wesele zrobi na prawych synach Polski — nie cofnęła jednakże swego postanowienia i wyprawiła wesele sute. Było to wesele, rzecby można, sejmem partyi francuskiej, na który zgromadzili się sami zwolennicy dworu, stronnicy Francyi, a nieprzyjaciele domu rakuskiego. Charakterystyką bowiem polityki królowej było z jednej strony największej życzliwości zjednanie dla Francyi, a z drugiej zniechęcenie pozyskanych sobie do dworu wiedeńskiego. Francya bowiem w nieprzyjaznych naówczas zostawała stosunkach z Austryą, poróżnić zaś z nią Polskę było onej ważnem zadaniem.

Łatwo każdy odgadnie, jakie było pożycie Maryi Kazimiery z wojewodą sandomirskim. Młoda, pełna fantazyi i do intryg zaprawiana wojewodzina przykrzyła sobie wielce z panem Zamojskim, boć i jemu nareszcie

z latami wywietrzały z głowy owe czcze, paryskie i dworackie maniery, za któremi młoda jego małżonka tęskniła. Niekochając zresztą męża, nie mogła Marya Kazimiera znaleść szczęścia w tym związku. Nie dla szczęścia on też był zawartym! Miała jednakże pani Zamojska ulgę w swej tęsknocie i niedoli małżeńskiej. Tą ulgą był tajemnie utrzymywany stósunek miłosny z Sobieskim, któremu sama królowa sprzyjała.

W wydaniu Z. A. Helcla [1]) Listów Jana III do Maryi Kazimiery, mamy pięć listów pisanych do niej, kiedy jeszcze była panią Zamojską. W tych Jan Sobieski sam, nazywany *Celadonem*, *la poudre*, *Sylwandre*, *Orondate*, w najgorętszej miłości zapale, z całą słodyczą najzakochańszego kawalera, zwie młodą i sprzyjającą mu *bardzo* panią Zamojskę: *jutrzenką*, *Astreą*, *bukietem*, *różą*, itp. Dla dania wyobrażenia o stopniu gorąca jego serca, przytoczymy tu jeden list jego w całości.

Do Maryi Kazimiery Zamojskiej, wojewodziny sandomierskiej. (z r. 1664 [2]).

„Królowo serca, Pani a Dobrodziejko moja! Obiecano dnia wczorajszego instrukcyą. Upraszam uniżenie Wci Dobr. mojej, niechaj wiem, jako się sprawować mam, aby w najmniejszym łaski Wci mojej Dobr. nie naruszyć terminie. Siedzę tu *chez Mr Korycki* [3]) od samego poranku, nie śmiejąc po wczorajszym tak długim niewczasie turbować najśliczniejszej Jutrzenki, ani też pójść na inne miejsce, z którego mogłaby sobie najpiękniejsza Astrée formować nieukontentowanie. Gdzie mi się tedy obrócić rozkażą, czekam na wyraźne rozkazanie Pani i Dobrodz. mojej, której jedyną tylko nad sobą uznawam władzę, i uznawać będę, póki jej panowanie trwać będzie. Twarz niełaskawą, jeżelibym dziś ujrzeć miał, albo najmniejszy po Wci Dobr. uznać nieafekt, racz o tem wiedzieć moja święta Pani, żebym tej godziny do ostatniej przyszedł desperacyi; i ta jedyna tylko przy mnie zostałaby rekollekcya, żebym przecież i umrzeć niemógł.“

Bilecik ten, zkądś może z pobliża mieszkania Maryi Kazimiery pisany, okazując z jednej strony niczem nie dający się ugasić pożar zakochanego serca Sobieskiego, każe wnosić, iż uwielbiana przez niego *Jutrzenka* przyświecała mu jakąś nadzieją za jego wielkie uczucie.

Z kilku zaś listów Sobieskiego poznać jasno ową kapryśną i grymaśną francuskę, na którą jak sam Sobieski pisze „trzeba pogody jak na siano.“ Ileż to *povre Beaulieu* [4]) nadręczy się i namęczy robionemi mu przez panią Zamojskę wyrzutami, że nie stały, że lekkomyślny, że nie wierny, że „*interesat*“?! Intrygantka i filutka widząc już zupełnie uległego sobie bohatera — ćwiczy go i próbuje w szkole dworactwa, na którem sama wybornie się znała. Grozi mu, że mu list posyła *pour la dernière fois*, przytacza jakieś plotki i bajki, któremi niby miał ktoś przed nią obmawiać Sobieskiego; innym znów razem przyrzeka protekcyą tak dla niego, jako też i dla jego przyjaciół. Zgoła z tych kilku listów poznać można jej charakter intrygantki, brak wszelkiego uczucia i strojenie sobie igraszki z czułych Sobieskiego konfessyj.

I jakżeż szczęśliwem mogło być to małżeństwo? Jakżeż szczęśliwym mógł być pan Zamojski, skoro jego żona cała zajęta, wcale nawet nie serdecznym romansem? Cierpiał też pan wojewoda na tem wiele, boć nie sposób przypuścić, aby zdołano ukryć przed nim zupełnie i obojętność żony i jej pokątne intrygi. W listach Sobieskiego Zamojskiemu dostaje się szydercza nazwa *la flate*, o którą Marya Kazimiera wcale się nie obraża. Sama go też tak samo w rozmowach nazywać musiała, sądzę bowiem iż ta i podobne jej listowne, a obydwom stronom zrozumiałe allegorye, stwarzane bywały w dowcipnych, salonowych i pouffnych rozmowach dwojga kochanków, co nawet onemu wiekowi napuszystości i przesady w języku zupełnie odpowiada.

Jakżeż szczęśliwem mogło być to małżeństwo, kiedy pani Zamojska, jak to z listów Sobieskiego do niej pisanych wnosić należy, myśliła i projektowała *o rozwodzie* z panem wojewodą?

Oto ustęp z listu Sobieskiego, pisanego z Żółkwi majętności Sobieskich, 2go lutego r. 1665, do pani Zamojskiej, potwierdzający ten nasz o zamysłach Maryi Kazimiery wniosek:

.... „Co się tknie *rozwodu* [1]) *o tym* najpewniejszą *Sobieski wziął* wiadomość, będąc *u Stanisława Jabłonowskiego wojewody ruskiego*, z którym całą „noc *przesiedział* o tem mówiąc. Był z nim i towarzysz „jego, który milszej nie ma zabawy, jako wspominać „*panią Zamojską*. Już nie może być większa przyjaźń, „jako znowu teraz z sobą zawarli *Jabłonowski z Sobieskim*. Taką tedy ma, a barzo pewną *Jabłonowski* wiadomość, że *wszyscy krewni* byli tego sentymentu, i radzili *Zamojskiemu*, żeby uczynić *rozwód;* ale to było „natenczas, jako jeszcze *Jerzy Lubomirski, marszałek* „*wielki koronny*, do takich jeszcze nie *przyszedł* terminów. Teraz, że się boją niesłychanie, i już cale odstąpili *marszałka* [2]), bo u tych ludzi żadnego i w niczem nie masz fundamentu, już tego nie śmieją proponować, rozumiejąc, że w dobrej zostając z *Maryą* „*Kazimierą* przyjaźni, mogą mieć i *Maryi Ludwiki* i *Jana Kazimierza* przyjaźń i fawor; i pewnie a pewnie „teraz już o tem najmniejszej nie masz wzmianki.“ W innem znowu miejscu tegoż listu jeszcze wyraźniej odpowiada Sobieski na wzmiankę Maryi Kazimiery o rozwodzie, którego nawet według jej doniesienia król i królowa pragną, „luboby chciał (pisze Sobieski) *Jan Kazimierz i Marya Ludwika rozwodu*, jeśli ten nie pozwoli, który tem dysponuje, to z tego nic nie może być.“

Wzywała już nawet Marya Kazimiera Sobieskiego do Warszawy, aby ten rozwód raz dokonać, Sobieski jednakże domagał się ciągle najtrwalszej w tym względzie pewności, bo na próżno nie chciał udawać się do stolicy tej *gry w piłkę*, jak ją zwie w swoich listach dowcipnie.

Czyż więc nie coraz łatwiej poznać można w tej *świętej pani* Sobieskiego najniegodziwszą duszę, zdradzającą śluby małżeńskie, i łudzącą, dla własnych widoków i dla korzyści *królowej*, zaślepionego miłością Sobieskiego? Ujrzymy wkrótce, jakiej to już wtedy Sobieski używał sławy w Polsce, jakiej wziętości w narodzie, i jaką można było mu rokować przyszłość. Bystry wzrok królowej przewidywał już te wszystkie korzyści, jakie osięgnąć można było z pozyskania tak wielce obiecującego bohatera. To też i ze szkodą dobrego imienia So-

[1]) Biblioteka ordynacyi Myszkowskiej. Zapis Konstantego Świdzińskiego r. 1860. Kraków.

[2]) Więc już wtedy *siedm* lat była zamężną.

[3]) Snać Krzysztof Korycki, rotmistrz i dworzanin króla Jana Kazimierza, wnet jenerał major i podkomorzy chełmiński (Niesiecki).

[4]) Nazwa Sobieskiego od pierwszej pokojowej Maryi Kazimiery.

[1]) Wyrazy, odmiennemi czcionkami drukowane, były w liście zwykle przez Sobieskiego używanemi allegoryami określane. Objaśnienie ich umieścił Z. A. Helcel przy swem wydaniu.

[2]) Odnosi się do sprawy Maryi Ludwiki z Lubomirskim, o której powiemy niżej.

bieskiego posypały się nań w krótkim czasie najwyższe godności w kraju, torujące mu drogę do najwyższego znaczenia.

Słusznie, i bardzo słusznie Lucyan Siemieński, spominając o Maryi Kazimierze, użył do określenia jej charakteru. kilku najgorszych przymiotników, bo ona była taką jak on ją opisał, była: „dumną, próżną, grymaśną, niestałą, przewrotną i bez żadnej wzniosłości w charakterze.“ Podczas zgryzot i smutków męża pani Zamojska żadnej sobie nie odmawiała przyjemności. W jej domu panowały według słów Sobieskiego: ustawicznie dobra myśl i maszkarye i gry różne, to w karty, to w ciuciubabki, to *aux petits jeux*, to przechadzki, to milion inszych zabaw.“

Biednym też i bardzo nieszczęśliwym był Zamojski. Ośm lat jego pożycia małżeńskiego były dlań karą za marnie strawioną młodość w Paryżu na grach, tańcach i zabawach z kobietami. Nie mógł się nawet rozweselać nadzieją pociechy z dzieci swoich, bo chociaż ich miał „troje, zaledwie jednak które podrosło od ziemi, umierało.“ Śmierć ostatniego dziecięcia była mu najdotkliwszą. Nie długo jednak płakał po niem. Nękany domową niepomyślnością, stratą trojga dziatek, nareszcie i niełaską królowej, spadłą nań z powodu, iż największego jej nieprzyjaciela Lubomirskiego sprawę popierać zaczął, niepocieszony w niczem nigdy od kochanej serdecznie przez siebie żony, wpadł w nieuleczoną chorobę i r. 1665 drugiego kwietnia gorzką wędrówkę życia zakończył.

Śmierć Zamojskiego uratowała Maryą Kazimierę od dopuszczenia się bardziej jeszcze jej dość czarną duszę czerniącego czynu, t. j. od zmuszenia nieszczęśliwego małżonka do przyjęcia rozwodu. Skoro bowiem i król i królowa tego chcieli, byłaby niezawodnie pani Zamojska doprowadziła ten rozwód do skutku. Skarżyła się ona już nie mało przed swoim ojcem, Markizem d' Arquian, na nieszczęścia w pożyciu domowem, był nawet zamiar, iżby męża porzuciła i do Francyi do ojca się schroniła. Los jednak sprzyjający Maryi Kazimierze we wszystkiem i od tego uwolnił ją kroku. Śmierć Zamojskiego najpomyślniejszym stała się dla niej wypadkiem. Przywdziewając żałobę po mężu i nad jego grobem łzy nieszczęśliwej wdowy wylewając, myśliła zapewne o tem, czy w czarnem ubraniu podobać się jeszcze będzie Sobieskiemu, którego w swej wyobraźni widziała już przed ołtarzem przysięgającego jej dozgonną miłość małżeńską...

I spełniło się i to bardzo prędko to jej widzenie. Marya Ludwika zrobiwszy Sobieskiego marszałka wielkiego koronnego, po śmierci Stefana Czarnieckiego, hetmanem wielkim koronnym, przyprowadzała sekretnie związek jego z Maryą Kazimierą do skutku. Nie należy nam jednak myśleć, iżby i Sobieski działał spólnie z temi dwiema intrygantkami. Bynajmniej. Sobieski kochał tylko — a jako bał się nawet szybkich swoich awansów, (o której to historyi osobny rozdział tu umieścimy), znać to z jego listu do Maryi Kazimiery pisanego w odpowiedzi na radę jej i królowej, aby się o buławę po śmierci Czarneckiego kwapił; pisze on: „*W takich rzeczach nie trzeba samemu w sobie upatrywać godności, ale trzeba, żeby ją kto inszy uznał.*“ Piękne te słowa w dobrem bardzo świetle ukazują charakter Sobieskiego. Rzecby można, iż on sam nie wiedział, co się z nim działo, tak go opanowały kobiety najprzewrotniejsze w świecie. I wtedy, kiedy on tysiącami serc rządził i władał, kiedy tysiące nieprzyjaciela rozpraszał, na nim spełniła się prawda myśli w pięknych ujętej słowach: „*my rządzim światem a nami kobiety.*“ Nim bowiem wtedy rządziły dwie podobne sobie Marye — jedna już koronowana, druga spodziewająca się już może korony.

Marya Ludwika zajęła się gorliwie małżeństwem młodej wdowy z Sobieskim. Cztery nie upłynęły miesiące od śmierci Zamojskiego, gdy 18go maja 1665 Sobieski połączył się z Maryą Kazimierą na wieki. Ślub dany przez nuncyusza papieskiego, późniejszego papieża Innocentego XII., odbył się sekretnie, bez wiedzy nawet ojca Maryi Kazimiery. To też, gdy mu o tem królowa już po ślubie donosiła, prosząc niby po niewczasie o pozwolenie i błogosławieństwo, Markiz d' Arquian w te jej odpisuje słowa: „Niesłychaną jest rzeczą w miesiąc po stracie męża obierać innego; odgłos sławy Sobieskiego, nie przyspiesza zezwolenia mojego, kiedy sobie przypominam mniej szczęśliwą córkę moją w pierwszem zamęściu, byłem w myśli do swego ją kraju wrócić, spodziewając się, że W. K. Mć użyć nie wzbronisz władzy rodziców nad dziećmi mianej, lecz że już rzecz zrobiona bez oczekiwania na moje zezwolenie, które *musiano usądzić za niepotrzebne*, uszanowanie winne tak wielkiej królowej broni mi prawdziwego w tem myśli wyrażenia, zostawując pamięć błędu pani Zamojskiej“ [1]).

Nie mało też i fakt ten oskarża Maryą Kazimierę; okazuje on bowiem jak złą i obojętną dla rodziców była córką. Kto zaś dobrem dzieckiem dla matki i ojca być nie umie, ten nie będzie umiał nigdy być dobrym człowiekiem.

Doszedłszy nareszcie w opowiadaniu o Maryi Kazimierze do tej chwili, w której ta piękna jutrzenka panią Sobieską została, sądzimy za rzecz stósowną przyjrzeć się bliżej przeszłości i charakterowi tego męża, o którym tylko nawiasowo spominaliśmy dotąd.

(C. d. n.)

ZIEMOWIT,

Książę Mazowiecki.

(Z podań ludu).

(Ciąg dalszy).

VI.

O błogo! błogo! gdy wśród życia zimy
Usiędzie starzec, a wianek rodzimy
W kół go otoczy i wnuków i dzieci,
Gdy piękne życie cnotliwej przeszłości,
Jak na kominku ogień mu zaświeci,
I miłem ciepłem stare grzeje kości;
Lecz gdy rodzinę czarna ziemia skryje,
I człek sam jeden na starość zostanie,
Jak suche drzewo w polu, i wiatr bije
Zimnemi skrzydły, a śnieżne posłanie
Żadnej już szczęścia nadziei nie wieści,
I gdy spruchniała wewnątrz dusza może
Brudne wspomnienia złego życia mieści —
O taka starość — to przekleństwo boże!

---

[1]) X. Coyer. Historya Jana Sobieskiego — przekład polski bezimiennego tłumacza, objaśniony i uzupełniony kilku uwagami Władysława Syrokomli. Wilno u Glüksberga 1852.

„O taka starość to przekleństwo boże!“
Mawiał pan Rawy, gdy w noce bezsenne
W pustych komnatach sam zalegał łoże,
Gdy się w pamięci snuły myśli ciemne.
Nieraz się zrywał w takie niepokoje,
Siadał na łożu, drżąc patrzał po ścianach,
Gdzie przodków twarze i rdzawe ich zbroje
Rzędem na długich wisiały dywanach —
I nieraz noce przesiedział tak całe,
A z żółtą twarzą, z której włosy białe
Jak dym wstawały, był jako trup świeży,
Co o północy budzi się i bieży
Na miejsca dawne, gdzie snuł grzechów wątek,
Tłukąc się duszą wśród życia pamiątek.

Dziś noc już późna — zamek spi — na górze
W komnacie księcia jeszcze światło płonie —
Książę utopił głowę w obie dłonie,
Siedzi i słucha, a mnich mu w kapturze
Ze świętej księgi święte czyta słowa.
Kaganka światło drży jak w niepokojach
Myśl — po obrazach skacze i po zbrojach:
To je rozświeci — to je w ciemność chowa,
A w polu hula wiatr i dziko wyje,
I grubym deszczem w okna zamku bije. —
A mnich o Jobie czytał mu powieści:
Jako żył wesół lat sto i czterdzieści,
I widział syny swe i synów dzieci.
Tutaj mnich przestał, książę siwą głową
Pokiwał smutnie — westchnieniem na nowo
Pierś mu nabrzmiała i w oku łza świeci.

„I widział syny swe i synów dzieci —
„Ja widzę tylko stare zamku mury,
„Najemne sługi i ten wzrok ponury
„W twarzy mych przodków, co z wyrzutem prawie
„Zda się wychylać ku mnie z martwych liców,
„Żem niedochował potomka ich sławie,!
„Żem niedochował ich czynom dziedziców.
„Butne mi myśli snuły się po głowie —
„Bóg ich nieziścił, sądziłem: synowie
„Dosięgną ręką, gdzie ja myślą grzebię —
„Człek inak tutaj, a Bóg inak w niebie.
„Sam — jak ostatnie jabłko na jabłoni
„W późnej jesieni wnet je wiater zgoni —
„Dognije w ziemi i — bez wieści może —
„O taka starość — to przekleństwo Boże!“

Umilknął książę — mnich czoło obcierał
I chłodnym wzrokiem po ścianach spozierał,
Czekając czyli czytać mu nie każą.
Znowu myśl inna przeszła księciu twarzą,
Bo zbladł, drżeć począł i mówił powoli:

„Ha! jeszcze ona dręczy w snach — to boli!
„Staje przedemną wyschnięta i blada
„Co noc, i... zbójco! cicho mi powiada,
„I pokąsane z głodu dłonie wznosi,
„I o sąd straszny na mnie Boga prosi.
„O nieuwierzysz mnichu, jak boleśnie
„Słyszeć przekleństwo i w burzy i bezśnie,
„I w oczach ludzi czytać potępienie,
„I w ciszy strasznej słyszeć swe sumienie.
„Ty mi mówiłeś, że w pańskim zakonie,
„Gdy się niewiarą zhańbiła niewiasta,
„Lud ją za białe wyprowadzał dłonie
„I kamienował za bramami miasta.
„Lecz w mojej Hannie niebyło niewiary,
„Bo nie goniła z gachem do ojczyzny,
„Tylko jej wstrętny był mój zamek stary,
„Tylko się mojej ulękła siwizny...
„I jak przystało na niewiastę świętą
„Chciała, aby ją w klasztorze zamknięto,
„By nie być moją, ale i niczyją,
„Jeno żyć czystą na grobie lilią.
„Czułem ja dobrze, co jej męka znaczy,
„Ale niemogłem, niemogłem inaczej.
„Biskup mnie klątwą częstował raz wtóry,
„Ojciec najazdem groził, jeśli córy
„Niewydam jemu — i rozwód zrobili;
„A ja kochałem ją — kochałem bardziej,
„Niżli ty czujesz mnichu, niż ci hardzi
„Ludzie myśleli, żyć bez niej'm się lękał,
„Więc przed więzioną jam nieraz uklękał,
„Chrypłem od prośby, by mnie nie rzucała.
„Lecz ani prośby, ni wściekłość katuszy
„Niezgięły już jej obrażonej duszy.
„Cierpiała długo, strasznie, lecz milczała,
„Więc“ — tutaj książę urwał smutną mowę,
I smutnym myślom zwiesił na dół głowę.

Dziwna to zmiana w księciu. On przed laty
Lubiał sam jeden siadać wśród komnaty,
I tam rozpuszczał myśli w dumy złote,
I duszę puszczał w niekłamną ochotę,
A dzisiaj bał się sam na sam w świetlicy
Zostać z boleścią i rozpaczą w parze.
Więc lgnął do ludzi jako ćma do świecy,
Lgnął tam, gdzie ludzkie czuł gwary i twarze.
Dawniej radości niezdradził ni skargi,
A dziś mu boleść rozwiązała wargi.

I patrzcie — znowu mówi: — „mnichu, mnichu,
„Dużom goryczy miał w życia kielichu,
„I ludzie trąbią po całej koronie
„O księciu z Rawy i o jego żonie,

„A przecież czuję żebym się nie skarżył,
„Gdyby mnie Pan Bóg choć dzieckiem obdarzył
„Na lata stare, — nie padłbym pod trudem.
„Och! gdyby Pan Bóg dał mi dziecko cudem,
„I dał mu duszę jak żelazne zbroje,
„I dał mu myśli jak są myśli moje —
„Księże, wasz klasztor ozłociłbym cały,
„Żeby aż w niebie olśnęli anieli
„Od jego blasku. Mnichu! ty w swej celi
„Dużo o cudach czytał, co się działy?
„Powiedz, gdzie święty tym cudem wsławiony,
„Pójdę i w modłach kamienie rozorzę
„Starem kolanem. — Powiedz, czy Bóg może
„Taki cud mnichu?“ — Czekał, — mnich znużony
Nad świętą księgą chrapał mocno we śnie,
Bo noc tak późna, bo mnich także człowiek,
Bo troska życia niekłóła mu powiek.
Książę popatrzał i głową boleśnie
Kiwał wpatrzony na spiącego mnicha,
Patrzał z zazdrością i z pogardą może,
I na pierś zwiesił głowę i rzekł z cicha:
„O taka starość to przekleństwo Boże!“

VII.

Jako żółw idę do końca powieści,
Odpoczywając na każdej boleści,
Na każdej ranie. Gdy do końca zdążę
Pluniecie może, że kapłan niewiąże,
Stułą rąk dwoje, że niema wesela
Na końcu pieśni; lecz śmiertelne łoże,
A na nim trupa Janusza położę.
Śmierć to ślub także — wieczność niepojęta,
Jak panna młoda w welon osłonięta,
Siny pierścionek kładzie na twej dłoni,
A serce trwogą zdjęte jak dzwon dzwoni.
Przedśmiertny dzwonek — ostatnia muzyka,
Co po nad tobą gra i w serce wnika.
Znacie zapewne ten dzwonek proroczy
Śmierci, bo kiedy we łzach krwawe oczy,
A w pustej duszy nadziei ostatki
Tłukąc się, jeszcze słuchają wśród trwogi
Ostatnich dechów konającej matki,
Ojca, lub brata, lub kochanki drogiej —
O w takiej chwili on dzwonek ci drżąco
Bolesną mową do ucha zagada:
Że wnet utracisz, co kochasz gorąco;
To też dźwięk owy jakby rdza osiada
W pamięci człeka. — Pamięć smutku długa.

Dzisiaj umierał wierny księcia sługa
Janusz. Od śmierci księżnej zapomniany,
Mało przychodził pomiędzy dworzany,
Ani się książę spytał o starego,
Bał się go prawie i stronił od niego.
Potem ociemniał Janusz; więc w swej celi
Jak w grobie siedział wciąż z różańcem w ręce,
W pierś się pokutnie bijąc, i przy męce
Bożej klęczącym ciągle go widzieli.
Dziś umierając chciał księcia zobaczyć,
Więc drzwi skrzypnęły i wstąpił w świetlicę
Książę powoli, smutny, zadumany —
Skinieniem ręki oddalił dworzany,
Przyszedł do łoża i na sługi lice
Dłoń swą położyi i rzekł: czego stary?
„Och to wy książę“ — i staremu słudze,
Z zamkniętych powiek łzy kapały w strudze,
I drżące ręce wznosił nad posłanie,
„Jam was tak dawno już nie słyszał panie!
„Wy się brzydzicie sługą, co wam g' woli
„W zbójcę się zmienił, o to bardzo boli!
„O ciężka służba była dla Janusza,
„Bo w grzech jak w chwasty porosła mu dusza;
„Lecz ja cię nieklnę za to, bom ku tobie
„Lgnął jak pies k'panu, chociaż pan go kopie —
„Lecz straszny sekret powiedzieć wam muszę,
„Nim ciało zziębnie, nim wyzionę duszę.

„Wy panie pewnie pamiętać musicie,
„Jak po tej nocy, co się tak rozżarła
„Burzą i deszczem, przyszedłem o świcie
„W waszą komnatę, a słowo: umarła...
„Na bladych ustach drżało mi tak głucho,
„Jakbym się strachał, by mnie własne ucho
„Niepodsłuchało; lecz kiedy w więzienie
„Wróciłem potem, i z trupa odzienie
„Zwlekać począłem, by go w strój bogaty
„Odziać, i w górne nocą nieść komnaty,
„Jakoś mi kazał książę byl — ujrzałem
„Obwitą w szaty po nad księżny ciałem
„W zimne uściski matki utuloną...
„Na suchych piersiach dziecinę uspioną....
„Więc w drżące dłonie to dziecko chwyciłem,
„Niosłem do siebie, i mlekiem cuciłem,
„Aż kiedy oczka otworzyło drobne,
„Gdym się rozpatrzył w jego liczku małem,
„Z wielkiej radości jak bóbr zapłakałem,
„Bo tak to dziecko było wam podobne,
„Że mi się zdało, że się ów wiek wrócił,
„Gdym przy kołysce dla was dumki nucił;
„I biegłem do was z tą radą nowiną,
„A łzy jak groch mi od radości płyną;
„Wszedłem — i do nóg wam się wtedy rzucił,
„Lecz gdyś odemnie gniewną twarz odwrócił,
„I odpychając mnie, gdyś mówił książę:

„Idź mi precz z oczu starcze podły, wraży
„Daleko, bo ci zbójca patrzy z twarzy,
„To mi tak boleść ścięła serca bicie,
„Że dzień przekląłem, w którym się rodziłem,
„Przekląłem siebie, że jak pies służyłem,
„I zataiłem przed wami to dziecię;
„I mściwy na was wyniosłem je z domu,
„W płachty zwinięte, na wieś — pokryjomu.
„Lecz dziś, gdy boleść z łożem skuła kości,
„Gdy w bezśnie dawne dni odżuwać muszę,
„To dziecko targa niepokojem duszę. —
„Może to dziecko bez matki opieki
„Schnąc w dymnej chacie płacze... gorzko może —
„A płacz sieroty to przekleństwo boże,
„I potępienie człowieka na wieki.
„Więc weźcie panie to dziecko do siebie,
„To mnie lżej będzie i księżna tam w niebie
„Się rozraduje, bo to dziecko wasze."

Tu umilkł Janusz, książę słuchał mało,
On słyszał tylko że dziecko zostało,
To dosyć jemu. Pierś znów szczęściem rośnie,
Jak wielka rzeka, gdy deszczem we wiośnie
Rozedmie brzegi i w mętną do koła
Otula pościel i łany i sioła —
I na tej fali rozigranych myśli
Już majaczeli mu dziedzice przyszli
Korony, berła, i Bóg wie co dalej...
I jak rozbitek, gdy na wściekłej fali,
Tracąc nadzieję, deskę ujrzy jeszcze,
Tak on pochwycił w dłonie, jak w dwa kleszcze,
Wpół ostygłego już śmiercią Januszę,
I trząsł nim silnie jakby mu chciał duszę,
Co już konała — przywołać na życie,
I w samo ucho wrzeszczał: „gdzież to dziecię?!"

Lecz odpowiedzi księciu już niedało
Janusza sine i ziębnięte ciało —
Na czarnych ustach marły ciche słowa,
Niezrozumiane, i w dół spadła głowa;

I zamek rawski wśród śniegów zawiei,
Pod chmurnem niebem jak grobu sklepienie —
I dwóch umarłych tulił w swoje cienie,
Jeden trup życia a drugi nadziei. *(Dok. nast.)*

KONKURY WIECZNIE TRWAJĄCE,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

III.

Rozmowa dwojga panienek.

Kilkaset kroków za dworem stał malutki, odrapany z tynku budynek, nazywany powszechnie folwarkiem. Wewnątrz znajdowały się 3 pokoiki, jeden mniejszy od drugiego, z brudnemi, niepobielonemi ścianami, z głębokiemi szparami i plamami zdradzającemi wilgoć. Przed domkiem głębokie kałuże i stosy różnego rupiecia wskazywały, że p. Michał trzymał się maksymy, iż nic w naturze ginąć nie powinno. Te jednak sztuczne góry i bagna niezbyt ułatwiały komunikacyę mieszkańcom skromnego dworku, a zwłaszcza mieszkańcom pragnącym widzieć raczej lazurowe niebo, zieloną murawę lub szerokie lasy, mieszkańcom takim jakimi były: stara pani Sternicka i córka jej Antosia.

Krewniaczki to bowiem swoje usadowił tak wygodnie pan Michał, zaspokoiwszy tym sposobem najwyborniej, jak się mu zdawało, wymogi sumienia i tego tak zwanego „niewypada". Krewniaczki zaś, lubo nie koniecznie były zaspokojone, bo kapiący deszcz przez szpary nabawiał je ciągłemi fluksyami, a owe piramidy przed domem kataru, a owe brudy i odrapane ściany nieprzyjemnego wrażenia, jako miłujących schludność i porządek, toć jednak nie byłyby się nigdy poskarżyły, znając zahartowane serce pana Michała w punkcie jakichbądź łask lub suplik. Obie tylko starały się jak mogły temu zaradzić. Pani Sternika przeto rozwiesiła stary swój dywanik po jednej stronie ściany, a Antosia porobiła z wici, słomki i maty, i temi pozakrywała wiejącą podłogę; nadewszystko zaś codzień zamiatała, wykadzała pokoiki, tak iż nieznacznie znośną przynajmniej uczyniła alkowę sypialną matki. A oto najwięcej jej chodziło ... o kąt cichy, wygodny i spokojny dla swojej siwej matuli modliła się codziennie słowem i pracą, jej przysporzyć jednę chwilę więcej radości czy szczęsnego uśmiechu, to było już dla niej sowitą nagrodą, nieskończoną zachętą do osnucia znów nieznacznie i cierpliwie jak pająk jakiej drobnostki, mogącej rozświecić smutną ich dolę. Nie było dla niej dość mozolnego trudu, dość odstręczającej roboty, nie było dla niej niechęci lub zwątpienia, każdy krok zrobiony uważała za potrzebny i pożyteczny, każde zatrudnienie jeżeli nie za przyjemne, to naturalne i konieczne, i dla tego przychodziła wewnątrz siebie do harmonii, do pogodzenia myśli z czynem, do rzeczy tak niezbędnej szczególnie ludziom, nie mającym żadnych nadziei rozświetnienia swego losu. Harmonia ta, będąca wynikiem nieustannej pracy i miłości matki, sprawiała, że Antosia wywiązując się z wszelkich nałożonych jej obowiązków, znajdywała jeszcze czas i na kształcenie siebie, i na działanie obszerniejsze na zewnątrz. Mówiliśmy, że czytała i myślała nad tem co czyta — czytała również matce robiąc zarazem swoje uwagi, któremi trafnie kierować umiała doświadczona życiem i posiadająca z dawna naukowe reminiscencye, kobieta. Tem czytaniem i myśleniem, nie rozbudziła w sobie Antosia ambicyi błyszczenia, żądzy poznania świata, niezadowolenia z swego przeznaczenia, bo książkę brała za to źródło, w którym płynąca czysta, czasem nieczysta woda niełakomemu, ale tylko pragnącemu, nigdy zaszkodzić nie może. Z książek czerpała powód do zastanowienia się i rozwagi — a rozwaga w głowie choćby 16letniego dziewczęcia tylko na dobre ścieżki poprowadzić może. Ale Antosia nie zapomniała, że choć w tak malutkiej i ubogiej sferze, że jednak i tu żyje z ludźmi, że i z tego życia powołani jakiśkolwiek zdają Bogu rachunek; stykając się zaś tak blisko codziennie z wieśniakami i ich dziećmi, uważała się za taką powołaną. Długo jednak biedziła sobie główkę, w jakiby sposób to swoje powołanie wypełnić bo iść wprost na wieś i zapowiedzieć rodzicom: przysyłajcie wasze dzieci na naukę do mnie, to byłyby i nieskutecznem i niemożebnem. Nieskntecznem, bo możeby oni nie odrazu zrozumieli potrzebę i rodzaj nauki; —

niemożebnem, bo Antosia sama była na łasce, więcby nie miała na to ani miejsca, ani tyle czasu do regularnego nauczania. Znów przeto w pajęczy sposób wzięła się do tego, oto najprzód odwiedzała chaty włościan co niedzielę w czas poobiedni, kiedy wszyscy zwykle po za stołem gawędzą, siadała razem i rozprawiała wespół o ich biedach, kłopotach, dolach i niedolach. Odwiedzając ich często i systematycznie, umiała tak do ich ser ca przemawiać, że wszyscy „panienkę“ polubili, każdy z radością przyjmując ją do swojej chaty. W trakcie tego, niby bez myśli wyjmowała książkę, (a zwykle była to historya polska bardzo przystępnie pisana), zapytując się ich, czy chcą aby im co przeczytać. Chłopek każdy jest nader ciekawy, prosił więc o to. Wtedy zaczynała im czytać najprzód o Kazimierzu Wielkim królu chłopków, a potem o innych. Rozciekawiwszy, zostawiła ich cały tydzień w oczekiwaniu, że kiedy przyszła niedziela, to aż po przed chałupę wychodzili oczekiwać panienki z ciekawą książeczką. Z tego to ich nastrojenia korzystając wytłómaczyła im, jakby to łatwo mieć zawsze mogli takiego, coby im czytał, i to każdy w swojej chałupie, *gdyby tylko chcieli*. A wytłómaczenie to zasadzało się na tem, iżby dzieci swoje małe, co w zimie nic nie robią, kazali uczyć choćby czytać i pisać, co nie byłoby tak trudno, gdyby tylko każdy ze wsi, dobrej chęci przyłożył. Tymczasem zaś ona się im ofiaruje ich dzieci w tym celu przysposobić. Zgodzili się z szczerą radością na to, wszyscy bez wyjątku — a Antosia odtąd miała do nauki 12 dziewcząt, z których po sześć co niedzielę u siebie starannie uczyła.

Otóż i znalazła działalność dla siebie — działalność, która bliźnim, zwłaszcza bliźnim w tak rozpacznym u nas znajdującym się stanie, zbawienie, jej rozrywkę i zadowolenie serca przynosiła. Lecz to zajęcie się, które ją i matkę jej tak radowało, które ją tak ściśle bratnim węzłem z ludem wiejskim łączyło, z ludem, mogącym się kiedyś zespolić w jedną zdrową i szlachetną całość narodową, jedynie drogą wyzyskiwania go moralnego, cierpliwego, nie gorącego, bo chwila nie zburzy ponurego rozstroju kilku wieków, to zajęcie się jej, powtarzamy, nie wszystkim się podobało, a mianowicie nie panu Michałowi, bo je nazywał śmieszną demagogią chcącej się emancypować panny — pani Michałowej, bo uważała to za odwodzenie ludzi od roboty, za zaniedbywanie podjętych własnych obowiązków, a wreszcie za kokieteryę w dalszem tego słowa znaczeniu, to jest za chęć ściągnięcia na siebie uwagi całej okolicy; i w tym punkcie, sama niewiedząc dla czego, myślała o swej jedynaczce.

To nieukontentowanie dawali pp. Michałowie kilka razy Antosi poznać, zwłaszcza gdy spostrzegli Wandzię towarzyszącą jej często w tych wycieczkach. Zestrofowali nawet córkę, przedstawiając jej, że co ujdzie biednej dziewczynie, to niekoniecznie przystoi bogatej dziedziczce, i że to zniżanie się do wiejskiego ludu, jest bardzo piękne w sielance, powieści, wchodzi nawet coraz więcej w modę, ale w gruncie jest tylko profanacyą pojęci i nie doprowadzi do niczego. Wandzia jednak tłómaczyła się tylko w ten sposób: że Antosię uważa za jedyną towarzyszkę, z którą przecie na tej nudnej wsi może nagadać się i nabiegać — i tem tłómaczeniem zamknęła usta do czasu rodzicom, a sama teraz jeszcze częściej, i to w miarę otrzymywanych surowych napomnień odwiedzała Antosię. Sama niewiedziała dla czego tak lubi jej towarzystwo, dla czego, gdy dawniej nieczuwała potrzeby opowiadania o malutkich swych dziennych przygodach, teraz się z nich tak zawsze przed skromną rówienniczką wieku spowiada, dziwiła się sobie, gniewała się nawet nieraz na Antosię, każącą jej zająć się jakąś rzeczywistą pracą, a naganiającą jej chodzenie samopas, jej leniwą otrętwiałość, obiecywała sobie że jej już nigdy więcej nie odwiedzi, a jednak chodziła zawsze często, tak ją coś do skromnego domku rwało. W pani Sternickiej, całującej czoło jej, zawsze z jakiemś rozrzewnieniem, zdawało się jej widzieć dawną swoją bonę, p. Biedosz, to też często patrząc się na bladą twarz staruszki, na jej srebrne włosy, zginała przed nią kolana i bezwiednie całowała jej ręce.

— Dobre, dobre z ciebie dziecię, moja Wandziu — mówiła pani Sternicka — i Bóg cię wynadgrodzi, tylko żyj więcej, patrz głębiej na świat i stworzenie, a uczujesz się prawdziwie szczęśliwą...

— Szczęśliwą? — powtarzała Wandzia w zamyśleniu — ja niewiem co jest szczęście, a co nieszczęście, ale mnie czegoś niedostaje, czegoś mi brak; — dawniej tak niebyło, teraz jednak to takbym nieraz płakać chciała, tak użalić się przed kim; ale w domu nie można, bo mama się gniewa...

— To przychodź tu dziecię, zawsze znajdziesz we mnie i Antosi matkę i siostrę, a zresztą my ci krewniaczkami...

— Więc na prawdę, pani moja krewna?... a gdym się papy spytała, zakazał mi o tem mówić.

— Moje dziecię, różne mogą być tego powody, za złe ich brać nie można ojcu, lecz przecie majątek nas tylko oddziela od siebie...

Majątek?! — wykrzyknęła zdziwiona — tylko to? i to miałoby być przyczyną? lecz prawda... wy mieszkacie w nędznej lepiance, a ja w ozdobnych salonach.. — i znów drgnęło coś w serduszku budzącej się dziewczyny, i znów się zamyślała, a wróciwszy do domu, siadywała w swym pokoiku przy oknie, dumając i tęskniąc.

Od czasu to rozmów takich z p. Sternicką i Antosią, spostrzegamy w Wandzi zmianę, zmianę korzystną, mogącą sprawić w niej całkowite przetworzenie, gdyby nie to, że dobre wpływy mieszkańców domku paraliżowali właśni rodzice despotyzmem, fałszywością przedstawień i wpływem jaki mieli nad swem dziecięciem mocą krwi i długoletniego kierowania.

Szlachetne uczucia, rozbudzone słowem Antosi w sercu jej, zacierały się wkrótce perswazyą p. Michałowej, obróceniem w śmieszność wszystkiego przez pana Michała, wplątywaniem córki w wir obcych, obojętnych ludzi, bałamuceniem na każdym kroku zdrowych, instynktowo szczerze odzywających się uczuć. Decydywnie pp. Michałowie bali się w córce nadewszystko jak mówili:

— Jakichś często teraz odzywających się urojeń poetycznych, które zawsze na bezdroża prowadzą i karyerę zwichnąć muszą.

Bali się nadewszystko przyjaźni jej z Antosią. Tę to swoją obawę wyrazili pewnego razu córce w ten sposób:

— Iż, jeżeli bywać na folwarku nie przestanie, to będą musieli Sternickę wydalić.

Wandzia na te słowa uczuła srogi ból, w trwodze i pomięszaniu wymknęła się czemprędzej przez ogród na folwark, aby natychmiast z Antosią się naradzić.

(C. d. n.).

Do tego numeru dołączamy mody za miesiąc listopad — a opis ich umieścimy w przyszłym numerze.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**